

Prolegomena do wszelkich nauk hermetycznych

Michał

CHOROMAŃSKI



Michał Choromański

PROLEGOMENA
DO WSZELKICH NAUK
HERMETYCZNYCH

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-14-2

Copyright © Michał Choromański

Tekst: PAX, Warszawa 1958

Projekt okładki: Marcin Labus

RUTH SOREL ŻONIE MOJEJ I PRZYJACIEŁOWI POŚWIĘCAM

WSTĘP

„Prolegomena” Michała Choromańskiego – jak wszystkie pozycje tego autora – to książka niezmiernie ciekawa i niełatwa. Zaciekawia nie tylko egzotyką wewnętrzną (w tym wypadku powiększoną o egzotykę zewnętrzną: krajobrazu, flory i fauny, klimatu), zaciekawia także jako dalszy etap rozwojowy twórcy znakomitej – przełożonej swego czasu na szesnaście języków obcych – „Zazdrości i medycyny”. Niełatwa jest natomiast przez swoją zawiłą strukturę psychologiczną, przez właściwą autorowi metodę wypowiedzania się bardzo okrężnego, aluzyjnego, metaforycznego. Swoim klimatem, a trochę i „tematem” (jeśli można o nim już mówić na podstawie pierwszej książki) przywodzi na myśl „Turystów z bocianich gniazd” Straszewicza czy „Transatlantyk” Gombrowicza. Jest jednak bardziej od nich zwarta, chciałoby się rzec „logiczniejsza” i – mimo wszystkich wspomnianych trudności – czytelniejsza.

Zestawienie z utworami Straszewicza i Gombrowicza pozwala z grubsza określić „problem” tego utworu. Chociaż w wieloznacznej, skomplikowanej i zawoalowanej twórczości Choromańskiego określać precyzyjnie problemy jest bardzo niebezpiecznie – istnieje duże niebezpieczeństwo wulgaryzacji i uproszczeń – można by chyba zagadnienie „Prolegomenów” określić jak następuje: chodzi tu o ukazanie powolnej a nieuchronnej degeneracji ludzi oderwanych od ojczyzny, o ukazanie procesu wyobcowania. Zagmatwana fabuła aż kipiącą życiem, pełna celnie i satyrycznie zarysowanych sylwetek bohaterów służy i ośmieszeniu, i bolesnemu podkreśleniu bezradności, karłowatości istnień żyjących nie historią, lecz echem historii. Wojna, hitleryzm, protest przeciw niemu, są tu nietwórcze, marionetkowe przez swą geografie marginesu, przez klimat egzotycznej wprawdzie, ale tylko prowincji, pozującej na metropolię. W tak zamierzonej książce pisanej przez Polaka, musiało oczywiście dostać się i Polsce, i Polakom. Nie udziela im autor amnestii, przeciwnie, wydaje się, że oni przede wszystkim są przedmiotem jego pasji obserwatorskiej i satyrycznej.

[tekst umieszczony na obwolucie książki – autor nieznan]

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Pani McIntyre śpieszyła do Konsulatu na wzgórza Nuestra Señora de Pinos w rezydencyjnej dzielnicy miasta, którego nazwy nie pamiętam. W mieście tym nie znajdowano trupów z raną w sercu lub na czole, znajdowano trupy z kulą w karku, z nożem między łopatkami.

Dreptała stromą, rozświetloną uliczką coraz pośpieszniej trzymała nad głową otwartą parasolkę z taką rozpaczą, jak gdyby była ona spadochronem. Stojący na rogu bosonogi policjant, w białym kasku i z pomarańczową kokardą na piersi, popatrzył w ślad za nią z uśmiechem. Domyślał się, dokąd szła, i znał powód jej zmartwień. Kłopoty miejscowej nauczycielki muzyki – profesora de musica clasica – zawsze łączyły się z jej domem. Obszerny, z pańska zbudowany, o werandach wyłożonych wzorzystymi kaflami, o białej kolumnadzie frontonu, o czerwonych gontach dachu – znajdował się w pobliżu koszar, na przedmieściu, prawie nad brzegiem jeziora De Sonrisa.

Kłopoty z domem zaczęły się w bojowym okresie ostatniego przewrotu wojskowego, który przeszedł do historii Prowincji pod nazwą Jedynej Reformy Rolniczej, Reforma Agraria Unica. Nowo mianowany Gubernator rozpętał burzę ksenofobii, zażądał konfiskaty majątków cudzoziemców, los enemigos del Pueblo. Przed panią McIntyre, która w tej dżungli ludzkiej i roślinnej trwała przez lata całe, pozostając wierną poddanką swego Króla – stanął wówczas dylemat: albo zrzec się domu, albo opieki swej dawnej ojczyzny. Wybrała to ostatnie.

W nagrodę za to domu jej nie skonfiskowano. Nie należał już do wroga ludu, ale do prawowitej, choć przybranej córki Prowincji. Rewolucyjny szal powoli wygasał. Gubernator zmarł na malarię (lub na szczególną jej odmianę, bo malaria trwała niespełna półtorej godziny); jego następcą umiejętnie wtoczył zapal reformatorów w łożysko innego hazardu, bezpieczniejszego niż rewolucja – założył kasyno gry, z bakaratem i ruletą. Hidalgowie zostawili w swych haciendach strzelby i szable, Colty i Maxime'y, i pokojową gromadą ruszyli ku zielonym stolikom. Hasłem Prowincji miało się stać: „Reforma i Pokój”.

Kłopoty z domem od tej pory jednak nie ustawały. Zamieszkiwał go wówczas solidny lokator, starszy inżynier wraz z żoną i służbą. I oto pewnego wieczora znaleziono go zsiniałego za krzakiem żółtych róż leżał w trawie podłożywszy dłoń pod policzek. Lekarz wojskowy – bo był pod ręką, w koszarach – stwierdził chorobę serca, rzecz w Prowincji nader pospolita, i zaleciwszy spokój, zabronił choremu opuszczać łóżko. Mimo to, ku zdumieniu pani McIntyre, żona inżyniera już nazajutrz po wypadku przewiozła męża do hotelu, odprawiła służbę i odesłała klucze pani McIntyre. Słyszano, jak w hotelu powiedziała do kogoś: „Już ja wiem, jak by się to skończyło”. W kilka dni potem oboje opuścili miasto i przenieśli się do innej prowincji.

Hacienda pozostała pusta, nikt się nie kwapił do jej wynajęcia. Wreszcie nawinął się pewien lotnik, tubylec z domieszką krwi amerykańskiej, kawaler z fantazją, nie gardzący – jak mówiono – kieliszkiem. Miał zamiar się ożenić i dom nad jeziorem przypadł do gustu jego narzeczonej. Wybielił fasadę i sprowadził ogrodników. Znowu wśród orchidei i kaktusów kwitły europejskie róże i znowu pani McIntyre – zaspokojona właścicielka – uczyła walczyków miejscowe panienki. Wtem w mieście gruchnęła pogłoska, że lotnik co nocy wychodzi na werandę i strzela na postrach. Dlaczego tak robił – nie wiadomo.

Miasto, którego nazwy nie pamiętam, handlowało kawą, herba-mate, topazami i ametystami, nawet cyną; karmiło cały kraj olbrzymimi pomarańczami; znane jednak było nade wszystko z plotek – gorszych od moskitów, od pajaków, od żmij koralówek, od żarłocznych ryb piraquou! Sami tubylcy, nie pozbawieni humoru, mówili o nim jako o

Plantacion de los Chismes, jako o Hodowli Czczej Gadaniny. Potrzęsali przy tym głową z osobliwą dumą.

Plotki o lotniku krążyły coraz dziwniejsze, Podobno co nocy sypiał w innym pokoju. Podobno zerwał z narzeczoną. Mówiono, że zawołał do siebie makumbeira – czarnego czarodzieja – i kazał mu wyprowadzić mrówki, gnieźdzące się pod domem w takiej ilości, że hałasem przeszkadzały mu spać. Całkiem zdziwaczał. Tuż koło werandy rośl rozłożył orzech włoski, zasadzony jeszcze przez ojca pani McIntyre; pewnego dnia lotnik omotał jego pień i dolne gałęzie drutem kolczastym. Robiąc to chichotał i zacierał ręce. A wieczorem znowu wyskakiwał w piżamie na werandę i strzelał w powietrze.

Najdziwniejsze jednak było zakończenie całej tej historii; bo nie miało ani pointy ani wytłumaczenia. Po prostu lotnik zjawił się u pani McIntyre w jej mieszkanku w śródmieściu i przeprosiwszy, powiedział, że niestety musi się z jej domu wyprowadzić. Dodał, że mimo to będzie przysyłał czynsz aż do wygaśnięcia kontraktu. Pani McIntyre przyjrzała mu się z ukosa; nic nienormalnego, żadnego zdziwienia w nim nie dostrzegła. Zachowywał się spokojnie i powściągliwie. Wytłumaczył, że dom znajduje się zbyt daleko poza miastem i że narzeczoną wyszukała już inny obiekt dla ich przyszłego gniazda domowego. Pożegnał się i wyszedł.

Były to niemal ostatnie przedwojenne dni; tanki ze swastyką toczyły się po szosach czeskich w kierunku Pragi.

Póki trwały rozmowy w Berchtesgaden – dom stał znowu opuszczony, o zamkniętych okiennicach; ścieżki porastały tropikalną roślinnością, na krzakach róż objedzonych przez mrówki, powiewały siwe włosy pasożytów. Na dobitkę, którejś nocy ktoś zakradł się do wnętrza haciendy i ukradł wannę. Złodziei musiało być kilku, skoro potrafili ją udźwignąć i przenieść przez ogrodzenie; kłódka u bramy pozostała nienaruszona. A po wannie wszelki ślad zaginął.

Pani McIntyre dobrze obeznana miejscowymi stosunkami, o kradzieży nie zameldowała; policji prowincjonalnej bano się jak ognia. Coś jednak należało przedsięwziąć. Czy sama wymowa faktów nie wskazywała na konieczność pozbycia się pechowej haciendy wraz z drogimi wspomnieniami o przeszłości, kiedy to obcokrajowcom żyło się w Prowincji niczym w raj; parym, zdradzieckim, okrutnym raj, pełnym gadów i moskitów, ale też i pokornej służby domowej. Raj został na zawsze utracony, należało prawdzie spojrzeć w oczy.

Pani McIntyre zwróciła się do pośrednika, ale zaproponował za dom tak śmiesznie małą sumę, że aż się przeraziła. Żyła przecież nie tyle z lekcji muzyki, co z czynszu. Zaproponowanej sumy złożonej do banku starczyłoby za ledwie na rok. Potem stoczyłaby się na dno tej czarnej nędzy, której Europejczycy bali się więcej, niż puszczy kłębiącej się tuż za miastem. Ryż i czarna fasola, oto, co na nią czekało... W ostatniej chwili, na szczęście czy też na nieszczęście, nadszedł list od nowego reflektanta.

Znała go pani McIntyre z nazwiska i reputacji. Stateczny, poważny kupiec niemiecki posiadał w mieście aż dwa sklepy materiałów bławatnych, uchodził powszechnie za przykładowego małżonka i czułego ojca. Zawarł umowę aż na trzy lata i zapłacił czynsz za rok z góry. Trudno było o lepsze warunki. Składając podpis u notariusza, pani McIntyre uśmiechała się błogo. Nie przeczuwała, że przykłada w ten sposób rękę do sprawy skandalicznej.

Albowiem do jej dworku, do domu o białej kolumnadzie i wzorzystej posadzce, zamiast statecznego Niemca wprowadziła się jakaś Murzynka ze stadem gołych bachorów. Okazało się, że handlarz bławatnymi materiałami od lat prowadził podwójne życie. Przez dzień cały w ukwieconym a zachwaszczonym ogrodzie rozlegały się wrzaski i płacz na pół niemieckich bękartów. W nocy dyskretnie, ze zgaszonymi latarniami wjeżdżała do bramy czarna limuzyna kupca, dom był oświetlony i z werandy dolatywał do szosy niski kobiecy śpiew i brzęk mandoliny. O świcie auto tak samo dyskretnie opuszczało dworek.

Ciekawy szczegół: ten gorszący stan rzeczy nie wywołał w mieście żadnych komentarzy. Być może zaważyła na tym męska solidarność hidalgów i haciendados; może inne ważniejsze były po temu powody; może też skandaliczne wycie bękartie i sprośny śpiew zaginęły w huku armatnim i w wybuchach bomb, których odgłosy dobiegały z Europy aż tutaj.

Wojenne wypadki toczyły się zgodnie ze znanym programem historycznym. Trzyletni kontrakt z lokatorem tymczasem wygasł, Tobruk się bronił, pancerne dywizjony otaczały Stalingrad.

I pani McIntyre śpieszyła do Konsulatu z nowymi kłopotami na głowie.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI